Nro 13.

DZIENNIK MÓD PARYSKICH.

Lwów, 15 czerwca 1844. Rok piąty.

Wychodzi co druga sobota regularnie; do każdego numeru dołączona jest rycina mód paryskich z dokładnym opisem. Kosztuje w miejscu półrocznie 5 złr. 15 kr.; całorocznie 10 złr. m. k.; na prowincii dolicza się przesyłka pocztowa do cen powyższych półrocznie 48 kr. m. k. Prenumerować można we wszystkich urzędach pocztowych, tudzież w redakcii pod nrem 301.; we Lwowie.

MODY.

Paryż, dnia 31 maja 1844.

Stroje damskie. Szczególny widok przedstawia Paryż w tej chwili; w mnóstwie osób spieszących z ciekawością na wystawę sztuk pięknych, łatwo poznać można, że między niemi dużo jest ludzi przybyłych z różnych krajów. W rzeczy samej, chwilkę tylko posłuchawszy, kilkanaście różnych dialektów o ucho nasze się obije. Rzuciwszy badawczem okiem na szczegóły ich stroju, trzeba przyznać że aby uchodzić mogli za mieszkańców stolicy, nie dostaje im tylko zgrabności paryskiej; strój ich całkiem jest podobny naszemu; ztąd więc wniosek, że nasze mody panują samowładnie w okolicach najodleglejszych, że tak w kraju jak i za granicą, Paryż uważany jest jako stolica mody, a przeztosamo jako punkt główny wszelkiej oświaty.

Korunki odgrywają zawsze wielką rolę we wszystkich częściach tualety; a do tego niektóre modniarki tak je umieją używać korzystnie, że choć siatka jest taż sama wszystko wydaje się nowem przez niezwykły kształt jaki nadają przedmiotowi który niemi przystrajają. Tymto sposobem do wielkiej wziętości przyszedł strój *à la maltaise;* strój ten jestto rodzaj płaszczyka, rańtucha, narzutki, bo do wszystkiego potrosze podobny. Gdy całkiem rozłożony, całą okrywa kibić; jeśli chcemy aby falbany spadały na ramię, wtedy niewidzialny rękaw na nie spada, a siatka przezroczysta najlepszy wtedy sprawia skutek. Jeśli zaś głowie przystrojonej w pukle, wstążki lub kwiaty wiośniane, chcemy dać lekką osłonę; strój *à la maltaise* ma obszerną pelerynę, która się podług upodobania podnosi na głowę, i która za pomocą dwoch wstążek dotąd nie postrzeżonych, przekształca się w ozdobny kapiszon.

Najpowabniejsze kapelusze są z krepy różowej z piórem leżącem i dobranem do koloru; kapotki z tiulu rurkowanego, ubrane kwiatami; także kapotki z gładkiej krepy koloru malwowego, pokryte welonem bruxelskim z bukietem dobranych hortenzij.

Tuniki, płaszczyki i twiny letnie, są tego lata dziwnej piękności; wspomnimy tu tylko o twinach nazwanych Polka z mieniącej jedwabnej materii, które się obszywają tkaniną angielską; o rańtuchach białych muszlinowych obszytych korunką, i płaszczykach *à la vieille* z czarnej materii.

Rycina dzisiejsza przedstawia: suknię bareżową z dwoma spodnicami, zwierzchnia po bokach otwarta i axamitkami naszyta, stanik wysoki marszczony w przodzie sznurowany; rękawy otwarte z epoletami, kapotka jedwabna, powierzchu mantyla axamitna w nowym sposobie zrobiona, korunką i pasamonikami ozdobiona. Kapelusz jedwabny kwiatami ubrany. Trzecia figura przedstawia mantylę jedwabną podobnież koronkami ubrana.

Stroje męskie. W tak pięknej porze jak terazniejsza, nie może się obejść aby stroje mezkie niejaśniały w całym swoim blasku na przechadzkach publicznych. Pola elizejskie i lasek buloński przepełnione są spacerującymi: piechoto, konno, w towarzystwie amazonek, wreszcie w powozach. Jestto wieczyste *Longchamps.* Eleganci noszą fraki *à la française*, zapinane na jeden lub dwa rzędy guzików; tożsamo surduty przy których daje się kołnierz jedwabny. Twiny trudno teraz gdzie ujrzeć, chyba na włoskim bulwarze; krój jej jest zawsze do zapinania na obydwie strony, a kołnierz i klapy jedwabne.

Kamizelki na obie strony zapinane są zawsze w modzie, wszelako widać niekiedy i o jednym rzędzie guzików; ten ostatni sposób wydaje się lepiej wtedy, jeśli materia jest w kraty lub paski.

Figura męska przedstawia: frak do przechadzki, tudzież surdut o jednym rzędzie guzików, z patkami i kieszeniami na połach.

Jarmark w Krośnie.

przez Marię z Ch. P*.

Ktokolwiek był na jednym z pięciu dorocznych jarmarków w Krośnie, wie, jakto miasteczko jest zaludnione, napływem ludu różnego stanu, z wsi i miasteczek okolicznych. Wie, iż niemal wszystkie określone przygody naszych jarmarków krajowych, po różnych rozrzucone pismach, są przygodami jarmarków krośnieńskich.

Jeden tylko wyłączny przywilej, bardziej idealny jak rzeczywisty, posiada nasze Krosno, dla swoich jarmarków; ale chociaż idealny, wieleż sięto nim już nim nie nacieszyło główek?... A któż nie wie iż ludzkość cała, większą połowę chwil szczęśliwych swego życia winna ideałom?... Te nawet nierzeczywiste chwile, tak są skąpo wymierzane, iż każdej sposobności, która nam je nastręcza, raczej dzięki, niż uśmiech szyderczy nieść winniśmy. Z tego powodu przywilej krośnieński, ma zawsze swoje zalety; bo chociaż już teraz tylko mydlaną bańkę ukazawszy pannom, znika, pocieszywszy nie zostawia wielkich zgryzot w sercu.

Krosno znane jest prawie całej Galicii, jako sąsiadujące sławnemu zamkowi Odrzykoń. Z tamtądto, ciekawy podróżny, chcąc zwidzić ten gmach upadły, mieszczący się w rzędzie pamiątek naszych starożytności, bierze cicerona, który chociaż niebędzie go umiał oprowadzić historyczną i archeologiczną wiedzą po jego zwaliskach, to przynajmniej zaprowadzi do niego tak, aby nie zbłądził.

Cichość i spokojność, która zamieszkuje Krosno w brukowanym czworogranie ziemi, otoczonej dość porządnemi kamieniczkami, jest tak uroczysta i niezgwałcona w dnie niejarmarkowe, iż często zdybiesz w środku rynku poważnie siedzące dwie gęsi, może pochodzące z dawnych potomków rzymskich, które papiętne sławy swoich przodków, gotowe zawsze krzykiem uwiadomić mieszkańców miasta o zbliżającem się niebezpieczeństwie.

Lecz nie chcę się zatrzymywać długo w pustym rynku, bo każda samotność pobudza do głębszych i rozciąglejszych uwag, jak te które schwytać można w wirze jarmarkowym, który dziś opisać umyśliłam. I nawet spieszyć się muszę, aby myśl moja zabrała się na jarmark z temi ładnemi panienkami, które tak pięknie proszą mamy aby ich z sobą wzięła.

— I jakże kochana mamo, pojedziemy?... I jabym się też przejechała, moja mamo, prosze mamy! dodała z cicha Józia.

— Ale dajcież mi spokój; ojciec powie, że was już na jarmark wywożę.... »To niech sobie tam tato już i cały tydzień z nas żartuje, byle nas mama wzięła. Już... pozwoliła mama, zbierzmy się Emilko!...« wołała Józia, całując w rękę matkę. I już myśl obydwoch panienek tonie w mnóstwie sprawuneczków, które mają być nakupione w Krośnie. Bruxelina, tarlatana, brylantyna migają się w oczach Emilii, a w młodziutkiej wyobraźni Józi roją się na lotnych skrzydełkach karmelki i pierniczki, któremi każdy tamże przybywający musi sobie osłodzić kłopoty jarmarczne.

W całym domu pociecha, bo wszystkie sługi cieszą się jarmarcznem, którego panny nie szczędzą w sutych obietnicach; aby swoją radość podzielić i z tymi co zostają w domu.

Gdy się tak w kuchni i w pokojach cieszono, służący kazał furmanowi drugą parę koni do powozu założyć. A to na co?... zapyta się furman, wszakmyto zawsze, parą do Krosna jeździli. Oho! to już przepadło, mój kochany, jużto teraz nie tylko po towar, ale i z towarem pojedziemy, odrzekł stary Maciej. Panny się na jarmark naparły, jejmość wziąść obiecała. Będzieżto teraz jegomość pannom dogadywał; boćto się jest i czemu przysłuchać, jakto przystole zacznie jegomość pannom dokuczać, żartować, napędzać raczki, osobliwie kiedy są goście, to się ledwie niebożęta niepopłaczą. Aż jejmość jegomości połaje, toć i troche folgi, choć nie na długo.

Panny tymczasem biegały z kąta w kąt, od szkatułeczki do zwierciadła, od zwierciadła do okna, patrzeć czy już zaprzęga. Młodziutkie, wesołe, każdą nową rozrywkę chwytały z zapałem.

Gdy już i dukacik od dziadka na imieniny dany, i cwancygierki od wujcia i krajcarki za jajka ze swojej intratki, przeniosły się w torbeczki ze szkatułeczek; zebrano się, popisawszy konotatki, które zostały w domu. Chyżo wybiegły na ganek panny, zasłyszawszy turkot zajeżdżającego powozu. Już też i pani domu swoje rozkazy sługom zostawiła.

Pakowano się do powozu, pozierając co chwila na torbeczki, czy są jeszcze; bo to im mama najstaranniej zaleciła, żeby torbeczek pilnować, nieobzierać się i uważać nawet na mantylki. Trafiło się bowiem, iż dama z pod lasów jaśliskich, uważając jarmark krośnieński za uroczystość, na której nie tylko stroje kupować, ale i wieszać trzeba po sobie, spuściwszy szal bagdacki niedbale dała powód sprytnemu jar-

markowemu jegomości, do uwag, iż jej nie jest potrzebny, owszem zawadza. Zdjął jej go tedy tak zręcznie i lekko, iż dama niespostrzegła swej straty, aż gdy się do wyjazdu zabierała.

Nasze panny zadowolone ze swojej tak zawczesnej przezorności, cieszyły się iż dotąd wszystko szło dobrze; aż gdy przejeżdżając koło stodoły, jegomość mając jakieś zlecenie do żony, usłyszawszy jadących, stanął we wrotach, i laską zdaleka skinął na woźnicę, żeby się zatrzymał. »A to co?... A to co?...« krzyknął szlachcic, żegnając się krzyżem świętym ujrzawszy cały ładunek w powozie. A cożto, aspani już córki wieziesz na jarmark?... Dalibóg nic z tego nie będzie, poco się panny mają włóczyć, prezentować, lepiejby siedziały nad igiełką. Toć i ty im pokupisz co trzeba, a na obgadankę niewystawisz że już wleczesz na jarmark. No! no! jedźcież już, jedźcie w imię boskie, rzekł udobruchany staruszek, widząc jak się łezki w oczach panienkom kręciły. Czemużeście mi niepowiedziały, że się już sprzedać chcecie, tobym wam był co i do woreczka wsunął, żebyście były pokupniejsze; a tymczasem wydobywał z żółtej łokciowej sakiewki talarki, i wcisnął po parze w rączęta całujących go panienek.

Ruszyli szczęśliwie.

Moja mamo, ozwie się Emilia, z kądże się też to wzięło, iż jarmark krośnieński zowią jarmarkiem na panny?... Tak, jak każde podanie ustne, i przysłowie, moja Emilko; musiała i ta nazwa, nie bez przyczyny, mieć zawiązek w podobieństwie do prawdy, którą czas obdarłszy z ozdób, zostawił jak ruinę w dwoch słowach pamiątki, które każdy, podług swego widzimisie i humoru tłumaczy.

Ja, tak jak wy teraz niezobaczycie, nie widziałam dotąd żadnego podobieństwa do wyjaśnienia mi prawdy. Tylko babka moja, spokojąc moją ciekawość, opowiadała mi, co w dzieciństwie o tem słyszała. Mamy dwie mile drogi, jeżeli chcecie, to wam opowiem.

Prosimy, prosimy mamy, zawołały obydwie.

»Nie ręczę wam za autentyczność tej powieści;« mówiła pani R* — jednak podobieństwo do prawdy zdaje się być wyjaśnione z tego co wam opowiem.

Za czasów Augusta III, kiedy to Polak w przysłowiu: Popuszczaj pasa jak za króla Sasa, zostawił pamiątki dobrych i rozrzutnych czasów; jarmark krośnieński nie był tem czem go dzisiaj ujrzycie.

Bogata szlachta znajdowała podostatkiem litych materij, pasów i śreber; nietylko z ościennych miast ale i krajów dążyli kupcy, by stroić polskie pany i panie. Nie jeżdżono też pojedyńczo na skupowanie tych pięknych rzeczy, panowie w poniedziałek, panie we wtorek, jak to teraz widzimy; lecz zjeżdżały się całe familie. W kolasach tak wysokich iż nietylko siedzieć ale i stać można było wygodnie, jechało państwo, w karabonach i rydwanach fraucymer, a w brykach kuchnia z pakunkami.

Najmowano stancie na dni kilka, jak kto mógł najlepsze i najwygodniejsze. Panie wieszały pawilony, rozciągały dywany, rozkładały gotowalnie, stroiły komnatki tymczasowo; jakto teraz nasze panie u wód w swoich łazienkach robią.

Żadna niewychodziła na rynek, ani do taszy. Szlachcic z brzęczącą kieską przechodził się pomiędzy kupczących żydków; obzierał najpiękniejsze materie, i stosami kazał znosić do stancii żony i córek. Poważne panie umawiały się o cenę towarów, zasiadłszy przy stołach w kapikach materialnych, lub żółtych kornetkach, przywdziawszy jupkę lub szamerlak. Córki żadnego prawie w targu udziału nie miały. Lecz za to wymuskane w kozakinkach lub jubkach z angażantami, kazawszy w oknach najpiękniejsze porozwieszać kobierce, opierały się na nich i przypatrywały mijającym konno lub pieszo.

Młodzież męska, chcąca nabyć lub pozbyć swoich rumaków, popisywała się na nich przed oknami najpiękniejszych lub sercu najmilszych dziewic.

Już też faktory naprzód mieli zlecenie dowiedzieć się, gdzie ta lub owa pani z córkami stoi. Wówczas niby z niechcenia pędził rumak w tą stronę. Rzut oka niósł powitanie w przelocie. Zapłonione znikały z okien doradzać gustem mamie, i znów wracały w okna wyzierać, czy tatko nowych nieprzysyła towarów.

Gracka młodzież nadskakiwała ojcom na targowicy konnej. Robiła małe przysługi; zmęczonym kazała wynosić stołki, pomagała kupna, lub biegała po faktorów. Zazwyczaj natenczas staropolską gościnnością odzywał się szlachcic: A mości dobrodzieju, kiedyśmy tak cały dzień jarmarkowali razem, toć nam się i wieczorna gawędka w spółce należy. Mojeć tam, żona i córki, jakąś przekąskę przywiozły. Proszę z sobą.

Tak więc dawne ściągały się znajomości, lub nowe prezentowano familii. Panny ciekawością wiedzione, jakie ich znajomki porobiły sprawunki, schodziły się do zamożniejszych, obszerniejsze mających stancie. Kawaleria przysyłała kosze cytryn, pomarańcz, cukrów i owoców. Lecz żeby nieambarasować podzięką piękności, której hołdowano, nieposyłano przez swoją służbę. Obcym to zlecenie dawano ludziom, z ostrzeżeniem: zanieś pod zielony, kwiecisty, amarantowy lub innego koloru kobierzec; jaki był wywieszony w oknie wielbionej piękności.

*

Tak formowały się towarzystwa, o których już w domu wiadomość lub przeczucie miano. I muzyka bandkami przeciągała pod okną, którą się młodzież zwołać nieleniła. Damy chłodziły się limoniadą; mężczyzni kaliszanem. *) Dwa, trzy dni, a czasem i dłużej trwały te zabawy; na których nie jedno poznało i skojarzyło się małżeństwo. Ztąd więc poszła owa nazwa, jarmark na panny. Gdyż szlachta widząc dobre skutki wożenia panien na jarmark; mieszkająca w kącie za bezdrożami i górami, gdzie niebyło sposobności ani do zabawy, ani do zrobienia znajomości, wlekła się i mil kilka z córkami na jarmark. Nieraz grząźlszy w błocie spotkały się dwie familie. »Co tam wieziesz panie bracie?...« pytał szlachcic szlachcica. »He, he, mospanie, wiozę towar do pozbycia.« Szlachcic nie w ciemię bity, wiedział już co to znaczy. »A tać i ja mam gładkie gąseczki, żeby kto zatargował, toby się człek i niedrożył.« Śmiano się, żartowano, służba pomagała sobie dźwigać kolasy drągami z błota, a panie wyzierały i dygały jedna drugiej.

Trafiało się często że i kilka razy bezskuteczną podróż na jarmark odprawiano. Panienki mniej urodziwe lub nieposażne, nadaremnie na pięknych kobiercach podpierały główki. Mijano, niewidziano niebożąt. Bo owe dobre dawne czasy i owi dobrzy dawni ludzie, byli zupełnie takimi jak są teraz. Cnota bez urody i posagu zawsze ciemnym otoczona wawrzynem. Jest ona jak owa wonna uzdrawiająca roślinka, którą w kwiecistym ogrodzie każdy pomija, biegnąc do wabnej nowością kamelii, okazałej georginii, lub zawsze ponętnej róży. Lecz nie jeden co zerwał kwiat wspaniały, wspomniał z westchnieniem na pominioną roślinkę, która w pożyciu domowem takby mu potrzebną była.

Dokończenie nastąpi.

Dumka.

Ponad ziemią wiatr przeszumi,
Poza ziemią chmury zginą;
Nigdyż żal się mój nie stłumi
I łzy moje nie przepłyną?

Lica różą malowane,
Twoje oczy, o! zmiennico!
Życie moje na przemianę
Szczęściem, bolem, rozmaicą.

Ale smutki same teraz,
Wiatr przeciwny ciągle wieje:
Życie boli, zda się nieraz
Że już gaśnie, że dotleje,

Gwiazda życia nie zagaśnie,
Choć zapadnie to nie zginie:
Bo zaświeci złoto, jaśnie,
W nadpowietrznej tam krainie.

Tu nie zawsze czarne chmury,
Gwiazdaż przeszła po zenicie?
Jeszcze padnie promień z góry
Co zapali nowe życie.

A gdy myśli, serce czyste,
Nie złorzeczmy złej pogodzie,
Nasze niebo rankiem mgliste
Rozjaśnieje o zachodzie.

Lecz się kryjcie dzieci serca,
Marzeń dzieci, me nadzieje!
Świat już stary, to szyderca
Nie zrozumie a wyśmieje....

*) Kaliszan, byłato mieszanina z piwa, z wina francuskiego, z soku cytrynowego, cukrem osłodzona, i chlebem utartym zakruszona.

Do Marii M*

(z Wiktora Hugo.)

Skromna! spuściłaś oczy, chylisz twarz spłoniona,
Ale choć wstydu pełna, lub nas użalona,
Boskiego taisz nam ducha.
Kiedy do twego serca promień nieba padnie,
To serce, jak w popiele skryty ogień na dnie,
Roziskrzy się i wybucha.

Nie tłum pięknego głosu co w ciszy utonął.
Słowik spiewał w tej chwili gdy dzień twój zapłonął
I gwiazda ciebie oświeca;
Ażeby cię przyswoić poezii krainie,
Już nad kolebką miałaś, piastunem dziecinie,
Bóstwo — może to rodzica!

Dwie dziewic, poezia, muzyka, siostrzyce,
Niebieskich uczuć myślą wybiły na lice,
Twój geniusz ma dwie jutrzenki;
I albo dusza cała w czułym wierszu płynie,
Lub kiedy przy twym głosie akkord drzy i ginie,
Rozbrzmiewa w tonach piosenki.

O! tyś myślą poety, w samotnej godzinie
Często marzy o tobie; a północ nadpłynie:
Niebo nią poczernieje.
Bo dusza wieszcza, dusza z miłości, z tajemni,
Jest jako kwiecie nocy, kwitnie pośród ciemni
I tylko gwiazdom wonieje!

Celestyn W.........

PAN GRYFF,

czyli

JEDNO Z TYCH ZDARZEŃ KTÓRE SIĘ CZĘSTO PRZYTRAFIAJĄ.

powiastka przez *Au: Wi:*

»L' erreur est la cause de la misèrc des hommes« błąd jest przyczyną, biedy ludzkiej; napisał filozof Malebranche w dziele pod tytułem: *»De la recherche de la verité;«* tak przynajmniej wydrukowano w szóstem wydaniu paryskiem 1712 r., u Michała Dawida. To samo, nigdy nieczytając dzieł pana Malebranche, powtórzył w r. 1843 Felix Gryff Kartnicki, z tym wyraźnym dodatkiem: »gdybym był nie na siódemkę, ale na dwójkę zagiął, byłbym się zupełnie odegrał!« Ma-

lebranche na drugiej stronicy, w dalszym rozwoju prawd swoich, objawił: *»il est bien juste que les hommes fassent effort pour s'en delivrer«*, potrzeba aby ludzie starali się uwolnić od błędu; a następnie czyni tę wielce logiczną uwagę, że aby być w możności uwolnienia się od błędu, należy dobrze poznać sposób tworzenia się i źródło błędu. Niemniej z tej zasady wychodził pan Felix, mówiąc: już więcej na siódemkę niestawię, uważałem bowiem, że ją bankier po większej części na zwodniczą *pliée* układa. Tak więc z zamiarem uchronienia się błędu, Kartnicki od godziny rozmyślał, skądby wziąść pieniędzy do gry roztropniejszej. Ale napróżno dzisiaj trudził, w podobne wynalazki bogaty, umysł swój, bo wszędzie gdzie go usilna myśl pożyczki zawiodła, znajdował nieprzezwyciężone przeszkody; wszędzie obrzydła XIX wieku nieufność, wszędzie ohydnych samolubów żądania pewności, naprzeciw niemu stawały; a nigdzie nie napotykał tej obywatelskiej wiary na słowo honoru, które niekiedy bywa cudowną kotwicą ludzi bez stałych dochodów, bez majątku, bez sposobu utrzymania się. Nigdzie nieodkrył nawet najlżejszego śladu gdzieby jego szczytny charakter ocenić umiano, gdzieby tajniki jego serca zrozumiane były; wszędzie postrzegał podły materializm, nietylko u izraelskiego plemienia, ale o biada! i w całem chrześciańśtwie. Ostatni pozostawał środek, ostatni! cierpki!... lecz dla wrących namiętności młodzieńca, dla pragnącego się odegrać, zupełnie możebny. Oto, postanowił ożenić się z panną Adelajdą *Laplange*, córką fabrykanta musztardy, dziewicą trzydziestej wiosny, wejrzeniem do sowy, kibicią do małego wielbłąda podobną; ale, jak twierdził stręczyciel Abramek, podobno bardzo, bardzo majętną. Wprawdzie, pomyślał pan Kartnicki, upłynie w nieznośnej cierpliwości kilka miesięcy na konkurencią, na czas zapowiedzi, ślub i tym podobne brednie, lecz w końcu pieniądze są pewne, i wtenczas nie głupim na siódemkę stawiać, albo się na madrygały upierać. Kto wie?... może i ja sam bank założę... Julci miesięczną wyznaczę płacę, szanownej połowicy będę pochlebiał, będę jej codzień przysięgał że ją do szaleństwa kocham, gotów nawet jestem dozwolić, ażeby pod obcą firmą i nadal gorzką fabrykowała musztardę, bylebym ja słodkie dochody pobierał i żył wygodnie i przyjemnie; czas przesądów przeminął, pieniądze za musztardę, Gryffa nieoszpecą.

W tem to arcymądrem postanowieniu Feluś przejrzał swoję garderobę; znalazł ją w dosyć jeszcze świetnym stanie; bezzwłocznie ubrał się w rozmarynowy z żółtemi guzikami szerokopoły frak; drobne plamki od nieboszczyka szampana na perłowych pantalionach kredą starannie zagładził; ciemną atłasową w złote palmy kamizelkę, mocno z tyłu zesznurował; tureckie wiązanie na szyi, śrebrną trupią główką umocnił; świeże pomidorowej barwy rękawiczki, na kościste palce, bez szkody, szczęśliwie wtłoczył; wiedeński, na fiszbinach składany kapelusz, z kurzu otrzepał; laseczkę opatrzoną w potężne szkło zielone, na ośmiokąt rznięte, w dzielną dłoń ujął; na pyszne barki, obficie szamerowaną algierkę z wylotami zarzucił; raz jeszcze spojrzał w zwierciadło; lawinę jasnych włosów do lewego ucha przytulił; rzadki wąs najeżył, usta po drejkönigu zimną popłukał wodą; fularową chustkę do kieszeni włożył; »Nie trzeba nigdy tracić nadziei,« zanucił; i nielękając się złodzieja, niedbale drzwi na klucz jednym tylko spustem zamknąkszy, wybiegł na ulicę.

Zbyt domyślny czytelniku! jeżeli sądzisz że pan Felix Gryff Kartnicki w prost do fabryki musztardy pana *de Laplange* podążył, wielce się pomyliłeś. Pan Felix wsiadł do małej stejnkelerki, i na franciszkańską *) jechać rozkazał.

Na obfitem w najniециekawsze rozmaitości podwórku, w drewnianej oficynce, której kryt starożytny o kilka tylko cali od poziomu był oddalony; w lewym szczycie do którego się po filgranowych wschodkach *per modum* drabinki dostać było można, w pokoiku odwiecznie zaswędzonym, siedziała w mocno zabrudzonej watówce, z czerwonem czołenkiem na głowie, stara izraelska niewiasta, i przez zawieszone na nosie, w mosiądz oprawne, szkiełka, uważnie oglądała czerwoną chustkę, której właścicielka żądająca na ten swój strój świąteczny zastawu, z osmuceniem przed nią stała; gdy w tej chwili wbiegł do rzeczonej izdebki znany nam Gryff.

— Jest Abramek?...

— Zaraz będzie, albo co?... Czy wielmożnemu panu jest potrzebny?...

— Potrzebny i prędko!...

— Zaraz, zaraz; *er ist in die Schule gegangen*, niech się wasani zatrzyma; *nehmen sie Platz gnädiger Herr*.

Jakoż w tym celu, szanowna hebrejka, brudnym fartuchem obcierając zydelek, przysunęła go do siedzenia wielmożnego gościa, i spiesznie udała się po swojego synala Abramka.

Po oddaleniu się starozakonnej, pan Kartnicki dla skrócenia sobie czasu, zapytał chrześciańskiej kobiety, jak się nazywa, gdzie mieszka, i co ją znagla do zastawiania świątecznego stroju.

---

*) Ulica w Warszawie, przez samych żydów zamieszkana.

— Proszę pana ja mieszkam na Tamce, jestem ubogą wdową i na chleb dla pięciorga dzieci, zastawiam ciężką pracę nieboszczyka męża, bom się przez jego chorobę do ostatniego wyniszczyła grosza; dopóki mój mąż był w fabryce musztardy u pana *Laplange* niezaznałam żydów, ale dzisiaj....

— Czy asani znasz pannę *de Laplange?...*

— Toć ja u niej przez siedm kwartałów służyła, i od niej wyszłam za mąż.

— A to wybornie!... Widzisz asani ja tu przyjechałem do Abramka, aby mi się wystarał o parę anglizowanych koni, bo postanowiłem się żenić.... Abramek zaś namawia mnie do panny *de Laplange,* asani więc możesz mi powiedzieć czy to jest ładna, dobra i majętna panienka; a jeżeli mi asani pomożesz do tego ożenienia, ja asanią przyjmę do naszych usług, dzieci asani oddam do szkółki, będę się niemi opiekował, i pomyślę, aby los asani na całe życie był zabezpieczony.

Asani mająca na języku: »panna Adelajda brzydka jest jak nietoperz, zła jak bies, a posagu chyba w piekle poszuka« usłyszawszy tak wielkie dla siebie i dla swych dzieci objetnice, szybko inaczej się namyśliła, i z dobrze udanem westchnieniem, odrzekła: »panna Adelajda to istny anioł, niedał jej pan bóg wielkiej urody, ale jest sobie wcale miłą panienką, i jako jedynaczce, pewno nielada posag, bogaty pan *Laplange* wyliczy. O! panna Adelajda jest dobrą gospodynią, skromną, bardzo skromną, nabożną panienką, najlepszą córką, i pewno taką będzie żoną. A wielmożny pan czy jest urzędnikiem?... czy też....

— Ja, moja, — jak asani na imię?

— Marianna, wielmożny panie.

— Moja Marianno, ja nie jestem urzędnikiem, ja jestem panem ze wsi... i mieszkam w Warszawie dla mojej rozrywki.

— Rozumiem, to jaśnie wielmożny pan ma swoje dobra!... o! panna Adelajda stworzona na wieś, kiedyśmy czasem wyjechały z panem do kolonii za Pragę....

— To pan *de Laplange* ma kolonią?... a ile ta kolonia może być warta?...

— Tego jaśnie wielmożnemu panu nie powiem, bo tę kolonię kupił szwagier pana *Laplange,* rzeźnik Ćwik.

— Jakto? więc rzeźnik jest wujem panny Adelajdy?...

— O! już będzie trzy lata jak umarł.

— Wieczny odpoczynek. Ale powiedz mi Marysiu, czyjąż więc własnością jest ta kolonia, i jak może być wielką?...

— Bardzo wielka, najmniej półgodziny potrzebowałyśmy zanim my ją w koło obeszły.

— I ta kolonia do panny *de Laplange* należy?

— Ja niewiem, ale mnie się będzie zdawało, że chyba dopiero po śmierci pani Ćwikowej, bo teraz ona tam mieszka.

— A czy pani Ćwikowa nie ma dzieci?

— Ma pięć córek i trzech synów, jeden jest przy wojsku, a dwóch terminuje u majstrów.

— Zatem chyba po morowem powietrzu ta sukcessia na pannę Adelajdę spaśćby mogła.

— Albo to ona tego potrzebuje, pan *Laplange,* ma swoich pieniędzy podostatkiem.

— Ile też mieć może?...

— Ja jego pieniędzy nierachowałam, aleć stoi w sypialnym pokoju skrzynia wielka, okuta w zelazo.

Na te wyrazy przebiegłej Marysi, oczy pana Kartnickiego wesołym roznieciły się ogniem, myśl o Ćwikach z zachmurzonego uleciała czoła, i słodkiej nadziei uśmiech na zwiędłych osiadł ustach.

— Słuchajcież Marysiu, ja mieszkam na krakowskiem przedmieściu, niedaleko poczty, w tym domu gdzie krawiec....

— O wiem, wiem jaśnie wielmożny panie, proszę pana, tam na dole sprzedają kwaśną kapustę, zawsze ją tam kupowałam, bo panna bardzo lubi kapustę....

— Dobra będzie gospodyni, kapusta nie wiele kosztuje, zdrowsza od lodów i tych wszystkich drogich słodyczy; mnie bo nie służy, ja będę inne jadał potrawy, pani codziennie może miewać kapustę; ale tymczasem, kiedy już wiesz gdzie mieszkam, proszę cię abyś od dziś np. za tydzień, poszła do panny *de Laplange,* i nienaumyślnie, ale tak nawiasowo, abyś się wywiedziała, czym się jej podobał, czy się we mnie pokochała itp.; a od panny *de Laplange* zaraz przyjdziesz do mnie, za co ja ci wynagrodzę Marysiu; dałbym ci dzisiaj kilka rubli, ale niemam przy sobie drobnych pieniędzy.

— Stópki jaśnie wielmożnemu panu pokornie całuję, i upewniam, że jaśnie wielmożnemu panu dobrze usłużę. Czy jaśnie wielmożny pan dzisiaj będzie u panny *de Laplange?...*

— Za półgodziny, i jutro i pojutrze, bo ja żwawo interesa robię....

Gdy słów tych pan Kartnicki domawiał, powróciła hebrejka z bóżnicy, wiodąc za sobą Abramka. Po radośnem jaśnie wielmożnego pana przywitaniu, Abramek o powód odwidzin zapytał.

— Oto chciałem cię Abramku poprosić, abyś mi

się przewiedział o parę gniadych anglizowanych koni, bo moje kasztanki już mi jakoś zbrzydły.

— Jakto wielmożne pan ma kasztanki? a teraz potrzebuje gniade?... aj! waj!... musiało się poszczęścić! Ja właśnie dzisiaj chciałem być u jaśnie wielmożnego pana.

— Pójdź zaraz ze mną, pojedziemy na Nalewki do Feigla, może tam parę rosłych koni wyszukamy.

— Służę jegomości; możemy zaglądać i do Kaftala i do Borucha i do Szymsi (cofając się). Ale ja tu wiem rarytne parę wałachów u łowickich żydów na Muranowie, oni je kupili bardzo tanio w rzymskim hotelu od jednego pana co pieniędzy nagle potrzebował, i tanio je będą sprzedać. Ale co to za konie?!... takiego niema w całej Warszawię!... tylko że jeszcze lepsze jak gniade bo siwych, najmodniejszych; dwa wałachów tak jak jeden, ślicne! Może jaśnie wielmożny pan dobrodziej będzie łaskaw pozwolić kieliseczek naszej wódki i kawałek kugla?... bardzo proszę. Obracając się do matki: *gieb ein Glaesschen mit dem Rändel und Stück Kugelhup;* do pana Kartnickiego; a co się tyce nasego interesu?...

Kartnicki mrugnął, oczyma wskazując na obecną rozmowie Mariannę.

— *Git, git!* szepnął Abramek, w stancię u jaśnie pana będziem się porachować.

Pan Gryff, który dzisiaj zapomniał wypić u siebie rannej herbaty, chętnie przyjął kieliszek słodkiej anyżówki, zakąsił kugla, poczem z Abramkiem izdebkę opuścił; a zesunąwszy się ostrożnie po niebespiecznych schodkach, na podwórku dopiero szczerze objaśnił Abramka, dla czego o kasztankach i o gniadych anglizowanych mówił; w rezultacie zaś zażądał, aby mu Abramek na śrebrny cylinder trzy dukaty pożyczył. W początku objaśnienia, Abramek jużto strącony ze szczytu nadziei pięknego zarobku przy kupnie koni, jużto żałując niepotrzebnej, mniej więcej dziesięć groszy kosztującej gościnności, zachmurzył czoło swoje, lecz gdy usłyszał wezwanie do pośrednictwa pomiędzy fabrykantem musztardy i jego córką, a panem Gryffem Kartnickim, i gdy w garści swej ujrzał stopiędziesiąt złtp. wartujący zegarek na mały dany zastaw, którego naprzód przedsięwziął nigdy niezwracać; wypogodziły się rysy jego.

— Półtora dukata; więcej wielmożnemu panu dać niemogę, teraz zegarków bardzo tanie, i więcej ich jest jak można potrzebować, bo tego ajenci od zegarmistrzów wiele bardzo zegarków bez akcyzy sprowadzą.

Długo jeszcze następnie Kartnicki z Abramkiem szeptali; zapewne żydek Gryffa nauczał w jaki sposób rodzinę *Laplange*, poznać, i w jaki sposób zamierzone dzieło poprowadzić ma. W końcu Gryff potrząsnął rękę Abramka, wskoczył do karetki, i do fabryki musztardy pana *de Laplange*, zawieść się rozkazał.

* * *

W kanarkowym pokoju, w białolakierowanej szafce za wielkiemi szybami, sto kamiennych z Lubartowa słoików, francuzkiej, w Warszawie z polskiej gorczycy fabrykowanej musztardy, od miesiąca ręką ludzką nietkniętych, opieczętowanych i lekkim kurzem pokrytych; wyraźnie sto spełna słoików, w czterech przestronnych stało rzędach. Pan *Laplange*, w szarej szubce skórkami z białych jagniąt podszytej, w krajkowych cichostępach, w czarnej krymeczce na osiwiałej głowie, od godziny mordował się przy jesionowym stoliku, nad napisaniem niemieckiego listu do przyjaciela swojego w Frankfurcie nad Odrą, którego o otworzenie mu kredytu na cukier w Królewcu gorąco upraszał. Panna Adelajda jego jedyna córka, w różowym płóciennym puszczanym szlafroczku, z gładko uczesanym płomiennym włosem nad króliczemi oczkami, przy oknie od ulicy, czytała trzeci tom oryginalnego polskiego romansu pod tytułem: Hiszpanka w Polsce, i łza niewinnej czułości, dopieroco po jej dziewiczem spłynęła licu, gdy przystojny młodzieniec zwolna drzwi otworzył i w nader uprzejmych wyrazach o musztardę zapytał. Z widoczną radością zerwał się od stolika pan *Laplange*; z gracią podniosła się z krzesła panna Adelajda, i łącznie zapewnili młodzieńca, że we właściwem miejscu pyta się o musztardę; że jej dostać może w najlepszym gatunku; po cenie bardzo umiarkowanej. Znany czytelnikom młodzieniec, pan Kartnicki, uznał za stosowne oświadczyć panu *de Laplange* i jego córeczce, że bardzo lubi musztardę; że dawno życzył sobie z fabryki pana *de Laplange* kupić musztardy; że mu jest bardzo przyjemnie, iż przy tej sposobności poznaje powszechnie szanowane i nader cenione osoby; prosił o sześć słoików musztardy; zajrzał do czytanej przez pannę *Laplange* xiążki, i wyrzekł, że Hiszpanka w Polsce jest teraz bardzo *en vogue;* zapłacił za musztardę, zarumienił się, i prosząc o pozwolenie odwidzania pana *de Laplange*, imię, przydomek i nazwisko swoje wymienił. Pan *Laplange* swoim uszom niedowierzając, spojrzawszy na zarumienioną córkę, z przyrodzonem Francuzom bogactwem grzeczności odpowiedział: że pan hrabia Gryff Kartnicki czyniąc zaszczyt jego domowi, znajdzie go zawsze najprzyjaźniejszym dla siebie; przyczem, prócz

musztardy polecił się panu hrabiemu winem wprost ze Szampanii, od swoich krewnych dla przyjacioł tylko sprowadzanem; prawdziwą wodą kolońską, i królewską pomadą. Na tego rodzaju grzeczność pan Kartnicki nieprzygotowany, oświadczył panu *de Laplange,* że korzystając z jego dobroci, po południu nieomieszka przysłać kamerdynera po szampańskie wino, po kolońską wodę, i po królewską pomadę; w tę chwilę, jeszcze tylko trzy słoiki musztardy dokupił; rączkę panny pocałował i pana *de Laplange* powtórnie zapewnił, że jest zachwycony tak miłą i uprzejmą znajomością; nareszcie po kilkunastu ukłonach, unosząc bibulastą pakę dziewięciu słoików musztardy, czułem spojrzeniem panny Adelajdy udarowany, do karetki przez pana *de Laplange,* odprowadzony, nad wszelki wyraz szczęśliwszy, odjechał.

Jak w przyrodzeniu zwykłą koleją po deszczu słońce świeci, a poza promieniami słońca deszcz się ukrywa, tak i nasi — niech mi ich będzie wolno słodkiem imieniem nazywać — młodzi kochankowie, po roskosznej chwili pierwszej znajomości, rzuceni zaraz zostali na żądło udręczeń. Panna Adelajda do żywego zmartwiona że ją tyle nadobny, tyle grzeczny kawaler, w płócienkowym zastał szlafroczku, czyniła sobie najsroższe wyrzuty, czemu się dzisiaj właśnie w morderową jedwabną nieubrała sukienkę. Pan Kartnicki od zmysłów odchodził, skąd wziąść pieniędzy na kupno łaskawie ofiarowanych mu przez pana *de Laplange* towarów. Ależ oboje znaleźli pociechę: dziewicę rozsądny ojciec utulił w zmartwieniu, nadzieją, że zapewne pan Kartnicki słowa dotrzyma i często odwidzać ich będzie raczył, a więc że jeszcze nieraz znajdzie sposobność pokazania mu się w morderowej jedwabnej sukience; przez Kartnickiego zawezwany o pomoc Abramek, za procent po ośm od sta miesięcznie, na wexel niepotrzebnemi drobiazgami poręczony, dwadzieścia rubli przed godziną trzecią przyniesć przyrzekł, i rzeczywiście przyniósł. O godzinie czwartej, najęty przez Kartnickiego lokaj, 130 złp. panu *de Laplange,* doręczył; a o kwandrans na szóstą, pan Kartnicki był w posiadaniu sześciu butelek szampańskiego wina z fabryki warszawskiej; sześciu flaszeczek kamforowej wódki, i czterech słoików szpiku z bydląt, podlaskim wywarem utuczonych. Tak się ukończył dzień wstępu do dalszych losów Gryffa, niejako prolog do małżeństwa na wielki posag obliczonego.

Dokończenie nastąpi.

Redakcia uwiadamia niniejszem szanownych prenumeratorów i wszystkie urzęda pocztowe, o cenie przedpłaty na dziennik mód paryskich. Następujące rozporządzenie w tej mierze jest prześw. głównego urzędu pocztowego lwowskiego. Najprzód: jeżeli dziennik zaprenumerowany jest na głównej poczcie lwowskiej lub w redakcii dziennika, kosztuje półrocznie jak zwykle 6 złr. 3 kr. m. k. takowy dochodzić będzie każdego prenumeratora opieczętowany, bez żadnej dalszej opłaty przy odbieraniu na swej poczcie. Powtóre: jeżeli jest zaprenumerowany dziennik na poczcie prowincionalnej, natenczas dopłaca się do wyż wspomnionych sześciu złr. i trzech krajcarów, za expediowanie, swej poczcie 24 kraj. m. k., na pół roku, któreto exemplarze równie będą na głównej poczcie lwowskiej opieczętowane i, pod adresem szanownego prenumeratora, jak najregularniej odsyłane.

Numer trzynasty dziennika mód jest ostatnim z pierwszego półroku; szanownych prenumeratorów, którzy półroczne przedpłatę zaliczyli, redakcia uprasza o wszesne zamówienie na drugie półroku: gdyż tylko tyle exemplarzy tłoczyć się będzie, ile się zgłosi zaliczających.

Redaktor TOMASZ KULCZYCKI.

DRUKIEM PIOTRA PILLERA.